

MATY SIĘ PLOTA, zwyczajne maty — ze złocistej słomy, z wikliny dziko rosnącej nad rzeką, z deseczek jak opiłek cienkich, związanych lnianą tkaniną.

Zwyczajne maty i przepis na nie prosty: żyto sierpem ściąć, żdźbła wysuszyć, oczyścić z łuski, a każde z nich musi mieć prawie metr długości. Sierpem ściąć, ręcznie wymłócić kłosy. Mądre są maszyny i sprawne, ale tutaj zawodzi ich mądrość. I rogożynę ściąć, drzewo na deseczki — teraz maszynnie się ukłonić, bo deseczek tych sporo trzeba na jedną matę, a wymierzone muszą być do milimetra.

Plotą się, przepłatają „cepeliowskie” maty w niedużym Leżajsku, w niewielkim zakładzie, który powstał trzynaście lat temu z prywatnego warsztatu tkacza — artysty Pawła Dudika. Plotą się na drewnianych krosnach przywiezionych gdzieś spod Grodziska, a jeszcze przedtem nie wiadomo skąd.

Było tych krosien na początku zaledwie cztery i czterech tkaczy tylko — dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Wspomagały tych tkaczy cztery cewiarki, przygotowując oprzęd. Robiono kapy na łóżka, narzuty, chodniki lniane i konopne. Nie najpiękniejsze było to wszystko, wykonane było jak — bo surowiec był niedobry i przy lampie naftowej pracowało się wieczorami. Leżajsk nie miał prądu w tamtych latach. Najpierw prądnicą miejscowego tartaku dała spółdzielnia elektryczne światło. Dokupiono trzy krosna na Lubelszczyźnie i wtedy już pracowali trzy zmiany.

Rogożyna dziko rosnąca nad rzeką, żytnia słoma, glina dobyte z ziemi, drewno sosnowe, lipowe, świerkowe — nigdy tego nie dosyć. Sklepy przyjmują każdą ilość wyrobów. Mówią, niektórzy „cepeliowska” moda, snobowanie się na styl ludowy. Tak mówią i jeszcze inaczej o tym wszystkim, ale ja dobrze wiem, dlaczego te maty, gliniane garnki, proste stołki, dlaczego to wszystko pojawia się coraz częściej w mieszkaniach. Oto nieskażona cywilizacją słoma, mata niosąca w sobie zapach słońca, rogożyna z zaklętym w nią szmerem rzeki — mają wynagrodzić nam tę chemię, plastik, szkło, metal, z którymi coraz częściej stykamy się na co dzień. Nasza cywilizacja, nasze życie staje się coraz bardziej polyskliwe, aseptyczne, chemiczne, ogniotrwałe, kwasoodporne — sztuczne włókna, sztuczne zęby, sztuczne futra, sztuczne parkiety, sztuczne nerki, sztuczna dobra mina do złej gry. A tutaj kusia słońce, dzwonięcie sierpów, krosna takie jak przed wiekami — i „cepelia”

ofiaruje nam tę sielankę za sto, dwieście, trzysta złotych, zależnie od naszych możliwości i pragnień. Bardzo lubimy się ludzi.

Zwyczajne maty — zgrzebny wór pomieści kilkadziesiąt rulonów. Słoneczna przesyłka z Leżajska pojedzie do dalekiej Warszawy, Katowic, Gdyni, Wrocławia, Krakowa. Duże miasta są przeważnie odbiorcami „cepeli”. Tutaj w Leżajsku nawet nie ma w żadnym ze sklepów stoiska z wyrobami

JERZY WAŁAWSKI

ZWYCZAJNE MATY

miejscowej spółdzielni. Trochę towaru bierze PSS, ale nie za wiele, bo miejscowi ludzie hołdują Innej modzie. W Leżajsku nikt się nie uskarża na plastik, nikt nie narzeka na „drzewo willizowane” życie, nie ten etap jeszcze. Bo jak w końcu narzekać na cywilizację, skoro w mieście gazu nie ma, skoro w większości domów nie ma łazienek — tylko szczęśliwcy z bloków mogą się porządnie wykapać, ale i tak kąpiel połączona jest z paleniem w piecu, noszeniem węgla, dmuchaniem w ruszty, więc polowa przyjemności odpada. Pewnie dlatego w mieszkaniach obywateli Leżajska panuje styl zgola nie cepeliowski, tylko tradycyjny raczej — mebel musi być polyskliwy i przyćwieczony, kredens solidny, najlepszy to ten odziedziczony po babce, bo schowków ma co niemiarą i pół chałupy do niego wchodzi. Od czasu do czasu, przy okazji wesela, imienin, czy innej uroczystości przychodzi ktoś do spółdzielni i kupuje obrus, komplet serwetek do kawy, jakąś narzutę, żeby było na prezent. A że wszystko musi się rozwijać prawidłowo, z zachowaniem właściwej kolejności, to należy się spodziewać, że przed modą „cepeliowską” musi zawiązać do Leżajska moda plastykowa — krzesła, na których trudno wysiedzieć, bo robią odgniotki, stołki wyplatane przedziwnie z igielitu, stoliczki z kolorowymi

blatami na metalowych nóżkach, które bardzo szybko rdzewieją i w ogóle dużo tych piękności, których pełno teraz w sklepach meblowych większych miast. Cywilizacja przychodzi szybko, szybciej niżby się komuś zdawać mogło. Pomyślcie tylko — dziesięć lat temu nie było tutaj prądu elektrycznego, a dzisiaj w mieście grubo ponad tysiąc aparatów radiowych i telewizorów około pół setki. Na sześć tysięcy mieszkańców to wcale nie mało. Motocykli sporo jeździ po drogach powiatu, w nowym domu towarowym lśniąca mechaniczne rumaki szybko doczekają się nabywców — niech tylko słońce lepiej przygrzeje, niech szosy obeschną.

Pojadą maty, futrzaki, gliniane garnki, podstawki, flakony, wazonny do dalekich miast. Za pośrednictwem central handlowych trafią wyroby leżajskiej „cepeli” i współpracujących z nią chałupników garncarzy, do Brukseli i Nowego Jorku, do Szwecji, Austrii i Szwajcarii. Zwyczajne maty, gliniane garnki, kożuszaki z bezużytecznych odpadków futra pojadą daleko w świat i przyczynią sławy polskim artystom ludowym — garncarzom i tkaczom. Dewizy?

Skoro już o pieniądzach mowa, to warto wspomnieć, że spółdzielnia w momencie usamodzielnienia się miała zaledwie 120 tysięcy złotych, to znaczy, że jej urządzenia, warsztaty, zapas surowca tyle były właśnie warte i ani grosza więcej. Za 120 tysięcy ten i ów lekarz albo adwokat, albo przedstawiciel prywatnej inicjatywy kupi sobie samochód, pojedzie trochę na wycieczki, jak nieostrożny to i kark srebro, i po wszystkim. Nie wiele znaczy 120 tysięcy. Zarobki pracowników spółdzielni wynosiły wtedy 700 złotych, czasami trochę więcej. Wzrastały stopniowo z latami. Spółdzielnia rozwijała się powoli, w miarę jak jej wyroby zyskiwały sobie popularność. Powstał drugi zakład w Sarzynie — tkactwo, farbiarnia, zmechanizowany dział przygotowawczy. Tkaczka zarabia teraz do dwóch tysięcy złotych, spółdzielnia pracuje na trzy zmiany... przydałaby się i czwarta zmiana, ale doba ma tylko 24 godziny.

Skoro już o pieniądzach, to warto by wspomnieć o tej historii z deseczkami na maty, z rogożyną i słomą — wspomnieć, bo historia ta z całą pewnością zasługuje na uwagę. Otóż leżajska „cepelia” potrzebuje na rok około 600 tysięcy specjalnych deseczek na maty, wystruganych gładko, z suchej tartacicy pierwszej i drugiej klasy — może być drewno sosnowe, albo świerkowe, a z liściastych lipowe

(Ciąg dalszy na str. 2)

WIESŁAW KULIKOWSKI

PROŚBA POLNA

*Wianek milczących ptaków,
rozerwany,
ciężki*

*— Wisłoka malowana wodą czasu
jak tonąca droga do ciebie.*

*— Do pola wrosłem
jak topola do wiatru,
do kamieni —*

*i chcę zatrzymać słońce w sercu —
proszę ciebie proso.*

DOM NAD WISŁOKĄ

*jak ziarno zboża —
nie widać nawet otwartych drzwi —*

*wyplukany deszczem,
wysuszony słońcem,*

*ogrodzony szczebiotem dzieci,
dla gwiazd otwarty na oścież,
na horyzoncie.*

*— Z jego ciepła zakwita parkan,
przybity białymi goździkami
— jak harmonia.
Można uciec po schodkach,
porozmawiać z nieżyjącymi.*

*— Kołyska z wikliny nad nim wisi,
a w niej znajomy księżyc —*

— i progiem jest wciąż Wisłoka.



Dyskusji o przedszkolach ciąg dalszy

Artykuł Józefa Kanika „Przechowalnia — czy coś więcej?” („Widnokrąg” nr 7, rok III, 17 II 1963 r.) dotyczący problemu pracy dydaktyczno-wychowawczej przedszkoli spowodował dyskusję. Jako pierwsza wypowiedziała się Wacława Wojturska — lekarz pediatra („Nieodpowiedzialność — czy coś więcej?” „Widnokrąg” nr 9, rok III, 3 III 1963 r.). Autorka zakwestionowała uogólnienia J. Kanika, i dość wyczerpująco przedstawiła założenia programu, który obowiązuje w przedszkolu, ale nie podjęła się szczegółowej analizy jego realizacji. Po ukazaniu się tych kontrowersyjnych artykułów, redakcja otrzymała kilka listów pisanych przez rodziców i wychowawczynie odpowiedzialne za całokształt pracy w grupach przedszkolnych. Niestety, autorzy tych korespondencji w większości ustosunkowują się tylko do negatywnych sformułowań Józefa Kanika nie rozszerzając i nie pogłębiając dyskusji. Jedynie niektóre zdania, pisane jak gdyby na marginesie, rzucają nowe światło na całą sprawę. Zanim redakcja zajmie stanowisko w interesującej rodziców i wychowawców dyskusji, publikujemy fragmenty nadesłanych listów.

T. Ż. — matka: Zastanowił mnie pewien fakt. W ubiegłym roku synek mój należał do młodszej grupy średniej. Do przedszkola chodził bardzo chętnie, uwielbiał swoją panią, przynosił piosenki i wierszyki, opowiadał różne wydarzenia przedszkolne, brał udział w występach przygotowanych na bal kostiumowy i Dzień Kobiet. Każdy dzień był barwny i pełen wrażeń: bo to grzybki, które dzieci kleiły z kolorowego papieru nie bardzo się udały, a mebelki z pu-

delek od zapalek wyszły ładne i pani pochwaliła, krasnoludkowi na rysunku noga się nie zmieściła, a gruszka lepiona z masy papierowej stała się podobna do beczki. Były więc małe dramaty, ale nie zapału, by następne robotki wyszły lepiej. Dzieci uczyły się złości, odbierały wrażenia estetyczne, kształciły swój słuch i spostrzegawczość. Z piosenką było im wesoło.

(C. d. na str. 2)



Fot. JOZEF LIGEZA



Fot.: Zdzisław Postępski

Zwyczajne maty

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tylko; spółdzielnia musi mieć te deseczki o wymiarach — 910 mm x 15 mm x 2 mm, żeby zapatrzyć w maty i futrzaki wszystkie sklepy w większych miastach Polski, żeby wreszcie ludzie zatrudnieni w zakładzie mogli pracować i zarobić. Kobiety tutaj przeważnie pracują, wśród nich większość obciążona dziećmi, licznymi rodzinami, przeważnie niebogate z domu, — takie, których rodzina nie wspomaga, bo sama niewiele ma. Jakis tam skrawek ziemi, jakaś łacha piasku, na której nie wiadomo co posiać, czy posadzić. Więc te deseczki bardzo wiele znaczą dla pracowników spółdzielni, bo od nich zależy praca, a od pracy chleb.

Zwracano się kierownictwo „Cepelli” do spółdzielni stolarzy — odmówiono im; miejscowa spółdzielnia stolarska postawiła warunki — jeżeli dostaniemy odpowiednią tarcicę. Pismo powędrowało do Wydziału Przemysłu i Handlu, i ugrzęzło tam, jak grzęźnie większość pism.

Tymczasem listewki zaczęły robić prywatni wytwórcy — chałupnicy. Wszystkie było w porządku, przeprowadzone legalnie. Kalkulacja sporządzona przez spółdzielnię wyliczyła ilość materiału potrzebną na deszczułki, wyliczone czas robocizny — wypadło, że jedna deszczułka będzie kosztowała około 60 groszy. Nie wiem, czy dużo to jest czy mało — o tym mogliby rozstrzygnąć fachowcy, ale rzecz w tym właśnie, że fachowcy pochowali się gdzieś w mysie dziury, a tymczasem Narodowy Bank w Leżajsku zakwestionował wypłaty dostawcom deszczek. Nie ma zapłaty, nie ma deszczek, nie ma mat, nie ma roboty, nie ma wypłaty.

Bank stanął okoniem we wrześniu 1962 roku, a deseczki były produkowane przez chałupników już od 1961 r. i nikt do nikogo pretensji nie miał. Bank się sprzeciwił i mówi: niech Wojewódzka Komisja Cen zatwierdzi cenę deszczek, bo inaczej nie damy ani grosza.

„Cepelia” wysłała dwa pisma — jedno do Wojewódzkiej Komisji Cen, a drugie do Związku Spółdzielni „Cepelia” w Warszawie. Odpisuje WKC — „na podstawie PKC Nr 235/60 z dnia 15. VII 1960 roku Biuletyn 25 paragraf 1 pkt. 2 — nie mamy uprawnień do zatwierdzania cen detalicznych dla „Cepelli”. I pocieszenie, że PKC opracowuje projekt zarządzenia dotyczącego skupu od chałupników. Mizerne pocieszenie — dużo wody upłynie zanim zostanie opracowany projekt, a jeszcze więcej, zanim projekt wejdzie w życie.

Wcale nie lepsza jest odpowiedź z Warszawy — „W świetle przepisów uchwały nr 18 zarządzenie CZSP z dnia 30 stycznia 1961 r. w sprawie zawierania umów z jednostkami gospodarki nieuspołecz-

nionej (Biuletyn CZSP nr 3 i 27 poz. 3) Związek nie ma prawa zatwierdzać cen na wyroby produkowane przez osoby fizyczne i inne gospodarki nieuspołecznionej”. I znów dobra rada — radzimy zwrócić się do WKC lub nawiązać kontakt ze spółdzielnią.

Koniec i kropka. WKC nie nie poradzi i Związek w Warszawie też nie, a Bank nie popuści, bo też ma swoje przepisy. Każdy działa według przepisów biuletynów, paragrafów, a wychodzi z tego jedno wielkie głupstwo.

I to nie tylko o te nieszczęśliwe deseczki chodzi, ale i o rogożynę, którą ktoś musi ściąć nad rzeką, zebrać, wysuszyć i dostarczyć do „Cepelli”, która z uspołeczniionych jednostek podejmuje się upędzania z kozłkiem nad rzeką dla zarobienia niewielkiej w końcu sumy. To robota w sam raz dla wyrostków, ale i wyrostkom trzeba, niestety, też zapłacić. Wreszcie słoma — też to samo. Za kilogram specjalnie oczyszczonej słomy na maty płaci się około 30 złotych — Bank wolał: taka kupa forsy za słomę!!! Ale ta słoma nie może być spod maszyny, musi być oczyszczona z łuski, musi mieć żądło w żądło długości 90 centymetrów. Gdzie wreszcie znaleźć spółdzielnię, albo państwowy zakład, który podjąłby się wyprodukowania paru sztuk krosien drewnianych, takich jakie robiono 100 lat temu, albo i więcej. A przecież wszystkie tkaniny leżajskej „Cepelli” tkane są tylko na takich krosnach, tylko na takich mogą być tkane, bo maszyną takich rzeczy się nie robi.

Przychodzą teraz do spółdzielni „Cepelia” dostawcy deszczek, wysiadają w ciasnym pokoiku kierownictwa, upominają się o należne im pieniądze, bo przecież towar dostawili, umowy dotrzymali, a zapłaty nie ma. Przychodzi stolarz, który zrobił te krosna — też nie otrzymał wypłaty. Myślą sobie najlepiej o Banku, który zatrzymał ich pieniądze, o komisjach i związkach, o przepisach i paragrafach, które narażają ich na stratę czasu i wyczekiwanie po biurach.

Oni myślą o pieniądzach, które należą się im za robotę, kobiety zatrudnione w „Cepelli” z niepokojem myślą o tym, czy nie zabraknie dla nich pracy. Handlowe placówki monitorują tymczasem spółdzielnię o gotowe wyroby. Nie znajdziesz maty w żadnym ze sklepów „Cepelli” w Krakowie, ani Katowicach, ani w najbliższym Rzeszowie także ich nie ma.

W styczniu pojechało w świat 1.680 mat deszczkowych, 400 wiklinowych, 50 futrzaków tak poszukiwanych za granicą i około 500 kompletów do kawy. To wszystko jest kroplą w morzu. Sklepy przyjmą każdą ilość, ludzie wykupią wszystko, bo każdy chce mieć w domu zapach lasu i szmer rzeki zaklebej w pręty rogożyny.

JERZY WALAWSKI

POPRZEDNIM RAZEM zwrócić uwagę na pewną cechę rozwojową reportażu. Jest nią wzrost autorytetu literackiego twórczości reportażowej, nie tylko zresztą u nas.

J. Lenart powiedział kiedyś, że tęsknoty 19-wiecznego realizmu do uzyskania pełni obrazu rzeczywistości w dziele literackim przeżywają się, nie wytrzymały próby czasu. To fakt. Co najmniej od Joyce'a wykletego i genialnego Irlandczyka, który ośmielił się burzyć dotychczasowe rygory, powiększa się kryzys formy powieściowej, gatunku najbardziej popularnego, który z pewnością utrzyma się bardzo długo, ale w kształcie zreformowanym. W drugim, atomowo-kosmicznym, rozbuchanym i konkretnym półwieczu już się nie pisze powieści — rzek, bliższy jest literaturze esej i reportaż. Zbliża się ten ostatni zwraca na siebie uwagę. Pisarze coraz częściej — że z naszego rynku wymienię tu autora „Spizowej bramy”, Tadeusza Brezę — uciekają od fikcji. Rozumują słusznie, że jeżeli nieosiągalna jest w literaturze pełnia obrazu rzeczywistości i wszelkie w tym względzie usiłowania grożą jej deformacją, to najlepszym sposobem na ograniczenie literackiego kłamstwa będzie wykluczenie możliwości mistyfikacji, jakie stwarza fikcja. To zaś możliwe jest do uzyskania w reportażu, gatunku sprawdzalnym zdolnym do udźwignięcia przeróżnych elementów architektury materii żywej i nie pozwalającym na takie wycieczki, jakie w swoich książkach stosuje np. pani Fleszarowa-Muskat.

W tym miejscu dochodzimy do momentu, stanowiącego o wzroście autorytetu twórczości reportażowej, do reportażu dużego formatu, nośnego w te bogate elementy rzeczywistości ludzkiej, nazywanego przez niektórych literackim. Można się sprzeczać o nazewnictwo, można mówić, co się chce, ale traktowany jako dramaturgia autentycznych zdarzeń i faktów, jako opis kawałka rzeczywistości, przepuszczony przez subiektywne w końcu wartościowanie piszącego, staje się reportażem gatunkiem szalenie odpowiedzialnym, modnym i przynależnym literaturze. Nazwałbym to zanikaniem czystych form i wzajemnym przenikaniem się gatunków literackich. Tworzyłem pisarza bywa bowiem coraz częściej element „zblizający do życia”, sprawdzalny, a więc reportażowy, reporterzy zaś operując nim profesjonalnie w skali jak najszerszej, są niejako zmuszeni posługiwać się kształtem literackim: jest to konieczność nieunikniona skoro reportaż przejmując zreformowane (sprawdzalne) tworzywo przynależne dotąd literaturze.

I oto można obserwować, że po okresie posuchy, w kraju, który wydał „Kawowego Pruszyńskiego” („W czerwonej Hiszpanii”), „Podróż po Polsce”, Melchiora Wańkowię i innych tużów, i w którym przez wiele lat mieliśmy tylko garstkę niezłomnych (Lovell, Brandys, Kozicki, z „zagranicznych” — Osmalczyk, Wolanowski, Broniarek) następuje renesans reportażu. „Świat”, „Życie Literackie”, „Współczesność” wykształciły już grono wytrwałych reporterów. Na rynku księgarskim co pewien czas tomy ciekawych reportaży. Krasieński z „Przerwanym rejsem białej marianny”, Holda z rewelacyjnym „Wypadkiem na zakręcie”, Szczygiński z „Portretem znajomego”, Ambroziowicz,

Rowiński, Kozicki, Lovell, wielu innych. Tyle, co do tej kwestii.

Z NOWOŚCI KSIĘGARSKICH pragnę dzisiaj zanotować książkę obcego pochodzenia, potwierdzającą koligację reportażu z literaturą. Autor: Curzio Malaparte.

Wokół osoby Malaparte, zwłaszcza po obfitującym w smaczki targu na duszę pisarza, co w swoim włoskim dzienniku świetnie odmalował Tadeusz Breza, narosło sporo najbardziej sprzecznych sądów. Poświęcono mu tysiące różnorodnych publikacji i milionowe nakłady, współcześni piali z zachwytem lub odbierali Malapartemu dobre imię; polski przekład jego głównej książki „Kaputt”, zniki z półek rzeszowskich księgarni dostownie w kilku godzinach.

Znany pod pseudonimem Curzio Malaparte, urodził się Kurt Suchert w rodzinie austriacko-włoskiej (1898). Obdarzony temperamentem Włocha, ambitny i wrażliwy, pozostawał wierny swoim orientacjom i ideom, dopóki się one w jego odczuciu nie zdyskwalifikowały; potrafił wówczas z siłą równą swojej fascynacji niszczyć, kalać świętości, burzyć piedestały i sztycy, a w sztycy był mistrzem wyborowym. Ten ryzykant jakby manewrujący ideami ze zręcznością zawodowego szukmistrza, ten, chciałoby się rzec, polityczny dandy, a jednocześnie zdecydowany antyfaszysta, ten liryczny i sztycy, awanturnik i intelektualista, piewca wielkości i upadku, psycholog i bystry obserwator — jest postacią tak pełną wewnętrznych sprzeczności, że nie zawsze pozwalają one zastosować jednej miary wobec jego twórczości.

W wydanej w latach trzydziestych „Tecnica del colpo di stato” (o technice zdobywania władzy) legitymuje się skrajnym cynizmem, natomiast w „Skórce”, książce o Neapolu po wkroczeniu wojsk alianckich wstrusza „reakcją normalnego, pobudliwego ludzkiego serca”. W młodości związany z ruchem pierwszych organizacji komunistycznych we Włoszech, orientowanych antymilitarystycznie na grupę postępowych pisarzy „Clarite” Barbuse'a odchodzi od nich, udaje się w awantury i wraca następnie znów do komunistów. Piśze o tym Breza w „Spizowej bramie”, nazywa go „inteligencją najzupełniej specyficzną” i mówi: „Pisanie po swojemu jest u niego jak upijanie się u nalogowca. Jak pijak po pijanemu musi narozrabiać, tak Malaparte też musi. Jego widzenie świata jest stopem humano-anarcho-surrealizmu. Jest tak inteligentny, jak wszyscy dziennikarze świata razem wzięci. Ma pamięć. Jest oczytany. Był też zdumiewająco chłonny. Bergson, Lenin, Nietzsche, Croce, Sorel, wszystko to znalazł w poprzek. To samo z literaturą”.

Był Malaparte zadziwiająco nieposkromiony. Dostępuje najwyższych szczytów w faszystowskich Włoszech, to znów przesiaduje w więzieniach i obozach, najdłuższą zaś (pięć lat!) w słynnym więzieniu dla politycznych na wyspie Lipari, które opuszcza amnestionowany przez Mussoliniego i dwa lata później, gdzie przebywa w charakterze korespondenta, zaczyna pisać „Kaputt” (prace nad książką podejmuje następnie w Polsce, w której był przed wrześniem 1939 r.), kontynuował na froncie pod Smoleńskiem, a kończył w Finlandii i na Capri, oczekując aliantów).

„Kaputt” jest książką okrutną. Tak mówi jej autor. Jej okrucieństwo, powiada, to najdziwniejsze ze wszystkich doświadczeń, jakie przyniosł mi widok Europy w latach wojny. A jednak, powiada dalej, wśród bohaterów tej książki wojna jest postacią zaledwie drugorzędną, wojna jest obiektywnym pejzażem tej książki.

Tak jest w istocie. Ale również momentami książka sprawia wrażenie usprawiedliwienia pobytu autora na froncie w mundurze faszystowskim. Do tego motywu powraca M. raz po raz, zdaje się być jak gdyby przymusowym świadkiem rzezi narodów, nie godzącym się z widokiem Europy, która jest stosem trupów. Rzuca Niemcom niebezpieczne zachwalstwa (np. w reportażu „God shave the King”, błyskotliwy opis obiadu u Generalgouvernera Franka na Wawelu) i można co do tego żywić obiekcje, jednakże nikną one, jeżeli zważymy, że miał w swoim kręgu wybitne znajomości i w końcu został odwołany z frontu.

M. imponuje mi wielkością swego talentu, błyskotliwością. Jest krew z krwi ryzykantem, żądnym poznania, ciekawym i nie zaspokojonym świadkiem — obserwatorem. Swoje doświadczenia frontowe eksplikuje w sposób dla czytelnika nieobojętny, jednoznaczny; bodajże Żukrowski, tak, właśnie Żukrowski napisał, że M. daje świadectwo godnej postawie morderców, spoza pleców plutonu składa im hold. Wrażliwy na przemoc i totalne zło Herrenvolku, maluje obraz wojny rzadko postępując się opisem batalistycznym. Wojna rzeczywistość jest w tle, ale pod piórem M. wnika w każdą jaziń, w szczególności krajobrazu („...bloto wzdymało się jak zaczn chlebować, kiedy zaczyna „ruszać”. Wiatr niósł poprzez bezkresną równinę tłusty odór błota, zmieszany z wonią nie zżętego zboża...” — „Czerwone psy”). Finezja narracyjna, refleksja, biegłość w przedstawianiu psychofizycznych portretów — wszystko to pozwala zaliczyć „Kaputt” do najlepszych osiągnięć twórczości reportażowej.

I jeszcze uwaga: Są w tej książce fragmenty budzące sprzeciw; wynikają one po trosze ze szczególnej w latach wojny sytuacji Malaparte, po trosze z pogranicza dwóch formacji kulturowych, które ukształtowały jego twórczość.

Czytałem „Kaputt” z dużym zainteresowaniem, przekonując się, że proza kreowana nie zawsze jest zdolna unieść tyle treści, ile dostarczyć może dobry reportaż.

BOS

*) Curzio Malaparte, „Kaputt”, wyd. I, „Czytelnik”, W-wa 1962, str. 420.

Dyskusji o przedszkolach ciąg dalszy

(Ciąg dalszy ze str. 1)

W tym roku wszystkie się zmieniło. To znaczy: kierownictwo zostało to samo, nadal zapobiegliwe i bardzo zyczliwe, warunki lokalowe nie uległy poprawie, zmieniła się tylko sala i państwo. Dla dzieci zmienił się jednak cały świat (podkr. red.).

Wydało mi się, że przy najtrudniejszych warunkach, nawet wtedy, gdy często zdarzają się wśród personelu urlopy macierzyńskie, trzeba daleko wcześniej przygotować fachowy personel zastępczy. Czy przypadkiem Wydział Oświaty nie bagatelizuje tej sprawy?

Praca w przedszkolu i jej wyniki, to ważna sprawa społeczna. Dziwne, że tak rzadko i mało się o tym myśli, i mówi. A gdyby tak postarać się, mimo wszystkie trudności, uatrakcyjnić pożyteczne 8 godzin małego życia spędzonego wśród ścian sali i wrzawy rówieśników? Może dałoby się wyprodukować filmowe bajki i wyświetlać je dzieciom raz w tygodniu, albo zorganizować dla przedszkolaków

przedstawienie „Kacperka” lub „Teatru Miniaturowego Aktora”. Praktycznie, mali rzeszowianie oglądają te wydarzenia raz do roku i to jeśli mama nie przegapi. Dzieci kochają śmiech, a bajeczki są czasem takie zabawne! Bardzo zadowolone były maluchy, które przyszły na zorganizowaną dla nich Choinkę Noworoczną do WDK i w oczekiwaniu na bajkę, której nie było, obejrzały... kronikę filmową i nudny krótkometrażowy film turystyczny — zabytkoznawczy.

Projektuje się obecnie budowę Domu Młodzieżowego w Rzeszowie, bardzo dobrze, ale kiedy pomyśli się o nowym, jasnym, obszernym przedszkolu dla dzielnic centralnych?

HELENA SALACH — wychowawczyni Przedszkola przy WSK w Rzeszowie: — Nie będę pisała o formach i metodach naszej pracy bo to temat zbyt obszerny, ale mogę udowodnić, że dzieci w naszych przedszkolach rysują, malują, tańczą, liczą i deklamują — słuchają bajek, oglądają filmy, teatryki, a

nawet uczą się języków obcych (w Rzeszowie) i najważniejsze, że są z przedszkola zadowolone.

I jeszcze jedno. J. Kanik pisze, że przedszkole wzbogaca słownik dziecka o różne „wrażenia”. Czy to wina przedszkola? Czy wychowawczyni w ten sposób się wyrażają. Niestety, dzieci te „słówka” przynoszą z ulicy i z domu. Do nas należało je wykorzeniać, ale w tym wypadku trzeba w pierwszej kolejności walczyć o społeczeństwo, bo przedszkole ani szkoła nie dokonają tego samodzielnie (podkr. red.).

STAŁA CZYTELNICZKA: Autor artykułu „Przechwalnia — czy coś więcej?” pisze, że „dzieci bawzą się po ścianach” ale gdzie? Na pewno nie w przedszkolu, ale w domu, bo rodzice nie umieją zorganizować swoim dzieciom popołudnia, dzieci nudzą się w domu. „Uszy puchną od słów, jakie mówią” — tak, każda wychowawczyni powtórzy to samo. Przytoczę jeden drastyczny przykład: dziewczynka i chłopiec

STANISŁAW GALOS

PRECEDENSOWE „SZALENSTWO”

JEST TAKI MOMENT w „Diabie kulawym” Lesage’a, jak bies uwolniony przez studenta z fiołki alchemika, postanawia odwzajemnić się wybaczieliowi. Przy pomocy diabelskich sił sprawia, że dachy nad Madrytem unoszą się w górę i oczym obu ukazują się wnętrza mieszkań. Pancerz sceptyka i ironisty w oku szkolara chroni go przed zdziwieniem. Jego zaduma jest cierpka, daleka jednak od pojęcia. Choć świat po drugiej stronie drzwi wejściowych jawi mu się w ostrości i barwie, których daremnie szukać gdzie indziej. Zostały na zewnątrz poza i konwenanse kryjące prawdziwe oblicze ludzi i ich konflikty. Podłość i cynizm jawnie teraz sąsiadują z dobrocią i łagodnością, czasem przepielają się wzajemnie, kiedy indziej prowadzą śmiertelne zmagania. Trwałe są tylko prozajczne drzwi, które urastają do rangi mocnego pułkera chroniącego słabotki i małości na równi z gamą najpiękniejszych uczuć i pobudek... Ale historia z obserwacją pełni życia w sytuacji zdjętych dachów ma miejsce tylko w powieści i przy pomocy czarta.

Drzwi mieszkania ob. Teofili Głowackiej przy ul. 3 Maja 30 w Przemysłu też były przez 14 lat prawie hermetycznie zamknięte dla ciekawych z zewnątrz. Bo też niczym szczególnym ten dom się nie wyróżniał. Chyba tylko tym, że ob. T. Głowacka w pierwszych latach powojennych w skrytości ducha intensywnie rozpatrywała niedawną reformę rolną, która pozbawiła ją włości w Birczy. Jej córki zaś pilnie uczyły się w szkole, by zdobyć potem fach. Mąż zapobiegliwie pracował na utrzymanie rodziny. Tylko chyba służąca, ob. A. B., zdawała się nie mieć trosk zadowolając się skromną zapłatą i wiktem. Dopisywało jej zdrowie, a poza tym, jakże by miała wątpliwość w szczodrości „jasnie państwa” w przyszłości czy w razie choroby? Kiedy jeszcze mąż ob. Głowackiej żył, często rozmawiała ona ze służącą. Wspominała co utraciła w nowym ustroju, wyraźnie się delekując myślą o „błiskim powrocie starych dobrych czasów”. A jakże — zapowiadała — nie zapomni wtedy o służącej. Uczyni z niej kamieniczniczkę, doda łachę pola, tak że kandydat na męża sami będą latać za Anną. I Anna wierzyła, widziała w snach wizję „lepszych czasów” — podobnie, jak jej pani.

Potem umarł mąż T. Głowackiej, a trochę później przestało wypłacać A. B. nawet symboliczne uposażenie. Nie upominała się o swoje. Jeśliby miała co, a reszta jej potrzeb była tak skromna, że nawet wstyd byłoby „jasnie pani” przypominać. Tymczasem córki ob. Głowackiej zdobyły zawód, jedna z nich — Danuta — skończyła farmację. Ob. Danuta Głowacka została przy matce, kiedy druga siostra wyszła za mąż za lekarza weterynarii z Jarosławia. Pozostały więc w trzypokojowym dużym mieszkaniu trzy osoby. Był to już rok 1957. A. B. coraz częściej zapadała na zdrowie, brakowało jej teraz tych sił co 14 lat wstecz. Wzięt T. Głowacka zaczęła oglądać się za młodszą służącą. Dopiero gdy „jasnie pani” nie na żarty zaczęła ją wyrzucać z domu, po parę godzin trzymać pod drzwiami, słowem dręcząc na każdym kroku, było się jej pozbyć — kobieta po raz pierwszy szeroko otworzyła oczy. Wstrząs to był okrutny. Tym okrutniejszy, że zbudowany na bezgranicznym zaufaniu, świat rojen rozciął się w druzgali.

Nie pora była jednak na rozpatrywanie zmarnowanych lat. Za poradą życzliwych ludzi, A. B. wniosła skargę do Sądu o zapłatę należności za służbę.

T. Głowacka pozwana przed Sądem, swą wolą przegranej, zawiera ugodę z A. B. okrywającą jej rozszewlenie finansowe do 4 tysięcy złotych i tę sumę zobowiązuje się spłacić w miesięcznych

ratach po 100 zł. Prócz tego wyraża zgodę na przekazanie w użytkowanie A. B. jednego pokoju. Bo dotychczasowa służąca mieszkała w arcyopłakanych warunkach: wstawiono jej łóżko do nocy, w której nie było ani pieca, ani światła.

Po zawartej ugodzie T. Głowacka złagodniała. A. B. pozostała wprawdzie nadal w nocy, ale „jasnie pani” pozwoliła jej za to wznowić pracę jako służącej. Idyła trwała prawie rok, aż zjawił się w domu na 3 Maja 30 zięć T. Głowackiej, lekarz weterynarii z Jarosławia — Władysław Siwicki, który najpierw pobił teściową, a potem ujmuje się za nią służącą, polamał żebra. Sprawa oparła się o przemyski Sąd, a sprawca złamania żeber otrzymał w wyroku aż... 800 złotych grzywny. Po rekonwalescencji A. B. przestała pracować u T. Głowackiej. Przyjęła służbę u farmaceuty, ob. T. B. z tym, że nadal zamieszkiwała w nocy. Służyła u ob. T. B. aż do momentu złamania sobie ręki — tzn. do połowy 1962 roku. Później zaczęła starać się o rentę.

T. Głowacka przypuściła teraz na całego szturm, by wyrzucić z mieszkania współlokatorkę. Szykanuje ją na każdym kroku, odmawia jej korzystania z ubikacji, nie mówiąc o łazience. Razem z córką nie szczędzą jej szturchnięć i wywisk. Dziś kiedy studiuje się ustalenia prokuratora, opisy awantur, prymitywnych zarzutów, aż dziw bierze, że jedna z inspiratorek i aktorek tych gorszących scen ma tytuł magistra.

Piekło staje się nie do zniesienia. A. B. jeszcze w 1959 roku złożyła do Prez. MRN podanie o przydział mieszkania. Nadzieja na otrzymanie locum jest dla niej deską ratunku, kotłata gdzie może, lecz bez skutku. I nie wiadomo jak długo podanie A. B. leżało w biurku kwaterynku nierozpatrzone, gdyby nie interweniował prokurator powiatowy. Jego stanowcze żądanie wyjaśnienia sytuacji sprawiło, że decyzje jedna po drugiej zapadały szybko. Wydział do spraw lokalowych postanowił zabrać ob. Głowackim jeden pokój z osobnym wejściem, jako że mają znacznie ponad metraż, i przydzielić byłej służącej. Hucet na te decyzje dała Powiatowa Komisja do Spraw Lokalowych.

Matka i córka nie składają jednak bronii. Ob. Danuta Głowacka jest przeciwna farmaceutce, ma kontakty w świecie lekarskim. Dlaczego by z nich nie skorzystał, dlaczego by nie spróbować starań, które mogą zaprowadzić A. B. do szpitala dla umysłowo chorych? Ob. D. Głowacka porozumiewa się z kolegą po fachu, T. B., u którego służyła ostatnio A. B. Ten opiera się naleganiom z początku, ale w końcu ulega. Pisze odręczne oświadczenie, że gdy delikwentka służyła u niego zachowywała się arogancko i wyzywająco. Potem przed prokuratorem wszystko odwołał co napisał. Podkreślił łagodne usposobienie ob. A. B., jej wyjątkową tkliwość dla dzieci. Dlaczego zaś dał Danucie Głowackiej swoje oświadczenie — wyjaśnił: „Zaswiadczenie takie konieczne jej było dla obrony przed podziałem mieszkania”. Dlaczego T. B. postąpił godnie i uczciwie dopiero przed prokuratorem? Dlaczego tak łatwo, choć mógł przewidzieć kolejny bieg rzeczy, godził się współzestępnicy w przysięgnięciu przeciwko zaszczętej i bezsilnej kobiecie? Ciekawych tu zapewne mogłoby się doszukiwać motywów psycholog. Motywów sięgających płaszczyzny brzydkiego solidaryzmu, towarzyskiej koteryjności. W każdym razie ob. D. Głowacka powołuje się potem na pismo farmaceuty ob. B., kontaktuje się z lekarzami, przekonuje ich sugestywnie.

Znamienna rzecz: udaje się jej przekonać lekarzy wcale gładko. Bo zanim

którykolwiek z nich skontaktował się z delikwentką, diagnoza że jest wariatką została już postawiona. A późniejszy tryb załatwienia sprawy jest tylko formalnością. Jaką czas potem, kiedy afera nabrała skandalicznego posmaku, lekarz Zbigniew Klein będzie się starał złożyć winę na innego lekarza, oświadczał: „Dowiedziałem się, że A. B. jest skierowana przez dr Józefa Gąskę do Jarosławia w celu leczenia, dlatego wskazana jest moja opinia jako neurologa”. Doktor Józef Gaska zaś tłumaczył się: „Gdy wydawałem skierowanie do zbadania, nie było załączników ani opinii o stanie zdrowia A. B., wydanej przez lekarza Zbigniewa Kleina, ani też pisma jego kierującego A. B. do badania w Jarosławiu”.

Tak wyglądała z góry ukartowana historia. Dla formalności jednak lekarz Z. Klein zjawia się w mieszkaniu Głowackiej. Rozmawia z ob. T. Głowacką. Musiał przeprowadzić z nią dość długą rozmowę, skoro potem przed prokuratorem powie: „Zachowanie się starszej Głowackiej, jak się zorientowałem, kwalifikowało ją do zbadania i leczenia psychicznego”. Ale przecież nie jej osoba go interesowała... Wchodzi do nocy A. B. Obcy człowiek, który powiedział, że przyszedł załatwić rentę i to o tak niestosownej porze — nie wzbudza zaufania u ob. A. B. Jeszcze bardziej się trwoży i zastanawia kobiecina, kiedy przybysz zadaje jej parę dziwnych pytań, na które jednak odpowiada składnie i spokojnie. Jest może trochę zdenerwowana, kiedy opowiada o perypetiach ze zlaną ręką.

Tajemniczy gość wychodząc z nocy, kieruje się do mieszkania ob. T. Głowackiej i jej, tak surowo przedtem oszacowanej, wręcza opinię przypieczątowaną los A. B. Po kilku dniach lekarz Z. Klein wystawia zlecenie na odtransportowanie „chorej” karetką do Jarosławia. 3 stycznia br. wczesnym rankiem, kiedy ob. A. B. leżała chora w łóżku — zjawilo się w mieszkaniu dwóch obcych mężczyzn. Oświadczyli, że są z „Opieki Społecznej” i ob. A. B. ma się ubrać, udać się z nimi, bo będą załatwiać formalności z rentą. Dziwny strój, jeszcze dziwniejsze zachowanie przybyszów zaniepokoiły delikwentkę. Zaczęła się domyślać najgorszego. Wszak ob. T. Głowacka i jej córka nieraz jej wygrażały, że postarają się dla niej o miejsce w szpitalu dla umysłowo chorych. Zaczęła tłumaczyć przybyszom, ale jej przerwali, polecając szybko się ubierać. Kiedy już obrana zjawia się w kuchni, szybko wykrecą jej ręce i próbują nałożyć kaftan bezpieczeństwa. Przeraziła się nie na żarty, jako że czegoś podobnego w życiu nie widziała. Sam prokurator powiatowy oświadczył później, że był to pierwszy wypadek w historii powojennej Przemysła, żeby kogoś zakuwano w kaftan, choć zdarzają się groźne wypadki prawdziwego szaleństwa.

Napadnięta zaczęła krzyczeć i wzywać pomocy, wybiegła na korytarz. Za

nią spieszyli prześladowcy. Z góry schodził kpt. WP, który mieszkał w tej kamienicy. Poprosił go o ratunek. W całym domu zaczął się ruch. Niezależnie szybko zbiegła na dół i weszła do któregoś z mieszkań. Prześladowcy stali już pod drzwiami. Ale oko w oko naprzeciw nich stanęła grupa mieszkańców kamienicy, którzy stanowczo zaprotowali przeciw uprowadzeniu A. B., zgodnie oświadczaając, że absolutnie nie ma cienia podejrzenia, by była ona niespełna rozumu. W całym domu zawrzało. Wszyscy znali przecież ob. A. B. dotąd jako spokojną, cichą osobę, która z wyjątkową cierpliwością znosiła niedolę i szkany. Jak zeznała przed prokuratorem ob. F. B. — pamięta ob. A. B. jako „kobietę spokojną, z nikim się nie kłócącą. Widziałam kilkakrotnie — stwierdziła dalej, jak po kilka godzin stała przed drzwiami, Głowacka bowiem nie chciała jej wpuścić do mieszkania”.

Do Pogotowia Ratunkowego z miejsca dzwonił, żądając wyjaśnień kulisów skandalu — dr Stanisławski, prokuratora zaalarmował oficer WP. Fernalnego dnia wystraszona niewiasta zjawila się w domu dopiero wieczorem. Od progu przywitały ją prześladowczyńce szyderstwem i kpina. Szydzą z niej zresztą do dziś. Bo choć ob. A. B. ma przydział na osobny pokój, nadal mieszka w nocy. Także prokurator jest bezsilny. Tak przynajmniej mówi. Przesłuchał świadków, ustalił okoliczności, nie może jednak sporządzić aktu oskarżenia przeciw obu Głowackim ani lekarzom, bo są to podobno przestępstwa bez paragrafu. Zamierza tylko wystąpić do organizacji zawodowej lekarzy i czynników administracyjnych, by wyciągnęły wobec winnych służbowe wnioski za złamanie etyki zawodu.

W tej chwili ob. T. Głowacka złożyła do Prez. WRN odwołanie od decyzji w sprawie uszczuplenia jej powierzchni mieszkalnej. I prawdopodobnie miesiąc jeszcze upłynął zanim ob. A. B. przeniesie się z nocy, zanim nastąpi finał tej potwornej historii.

Uczeń się nie zmienił

Aby można było ustosunkować się do podania penta trzeba naprzód przejrzeć podstawowe dokumenty — takie, jak ankieta personalna, życiorys, świadectwo lekarskie itp. A więc do dzieła...

Ankieta personalna: Urodzony gdzieś między rokiem 1945 a 1955, zawód — uczeń szkoły podstawowej lub średniej, narodowość — polska, obywatelstwo także samo, pochodzenie społeczne w tym wypadku obojętne. Obojętny też jest adres ucznia — może mieszkać w Rzeszowie, albo w Czarnej (powiat Ustrzyki Dolne).

Nikt chyba się nie spodziewa, że bardzo bogaty będzie życiorys ucznia. Nie miał jeszcze kiedy stać się takim. Po okresie niemowlęctwa dzisiejszy uczeń spędził kilka lat wyłącznie na zabawie. Później odebrał mu zabawki i kazano iść do szkoły. (Zabawki przekszadzały przecież w naukę?). Uczeń chodzi więc do szkoły...

Przeważnie przechodzi szczęśliwie z klasy do klasy. Często zdarza się, że nauczyciele zadają lekcje i sprawdzają wiadomości ucznia, a uczyły muszą go w domu rodzice, bo w szkole nie ma już na to czasu. Nauczyciele skarżą się na zbyt wielkie przeładowność programów szkolnych.

Uczeń nie będzie pisał w życiorysie, że posiada dostateczny zasób kryteriów moralnych, wyrobione upodobania kulturalne i ukształtowany stosunek do pracy, ponieważ to wszystko ma mu dać dopiero szkoła. Celem szkoły jest przygotować go do życia.

Zobaczmy więc następne dokumenty: opinie, sprawozdania z wizji lokalnej. Wynika z nich, że uczeń nie ma na ogół warunków do samodzielnego myślenia. Szkoła ćwiczy przede wszystkim jego pamięć. Podstawowy obowiązek w szkole stanowi opanowanie określonej sumy wiadomości.

Ponieważ wiadomości tych jest bardzo, bardzo dużo — u ucznia rośnie poczucie niewykonalności zadań. Czasem ratunek stanowi nierobstwo. Ale nierzetelny stosunek do nauki fatalnie odbija się u młodego człowieka na jego późniejszym stosunku do pracy. Pilny lub też dobrze pilnowany przez rodziców uczeń pokonuje więc piętrzące się przed nim trudności nieznacznie kosztem zdrowia.

Aby obraz był pełny zapoznajemy się jeszcze ze świadectwem lekarskim. Wynika z niego, że uczeń bywa przemęczony, chorowity, nieobecnie staje mu się rozmaite nerwie. Wciąż jeszcze w nie najlepszych warunkach prowadzi się nauczanie, ale przede

wszystkim trwa ono za długo. W szkole uczeń powinien spędzać najwyżej 30 godzin tygodniowo, a spędza ich przecież więcej.

Uczeń niższych klas może być w domu wolny od zajęć. W ostatnich klasach wskazane jest, aby poza szkołą nie przeznaczal na naukę więcej niż 2-3 godziny. Wszystko to jest jednak na razie sennie marzenie.

Uczeń ma mieć czas na racjonalny odpoczynek, na zabawę, na przebywanie na świeżym powietrzu. W szkole korzysta ze sportu w nazbyt małym stopniu. Podczas przerwy zazwyczaj nie ma gdzie wybiec, nie wolno mu zabrudzić posadzki w klasie, w chłodne dni okna bywają zamknięte na wszystkie guziki.

Według opinii lekarza zachowanie równowagi między rozwojem umysłowym, fizycznym i psychicznym ucznia stanowi problem zasadniczy.

Jak w tym świetle należy reagować na podanie ucznia; czy zawarte w tym podaniu postulaty pod adresem władz oświatowych są uzasadnione... Nie będziemy sprawy rozstrzygać, tylko zasygnalizujemy. Uczeń prosi, aby odciąży go choć trochę od wkuwania. Pragnie mieć obowiązki, które by nie przekraczały jego możliwości i sił.

Nadmierne obciążenie nauką nie daje spodziewanych wyników. W uczeniu trzeba utrwać wiarę we własne siły. Niech szkoła nie będzie smutna i nudna. Uwzględnianie zainteresowań ucznia m. in. do muzyki, malarstwa — posiada istotne znaczenie. Jeśli uczeń interesuje się czymś, to nauka go wtedy nie nuży. Programy szkolne nie powinny być tak obszerne, natomiast bardziej ciekawe.

Uczeń chciałby, aby miano do niego więcej zaufania. Tak samo jak na nauce zależy mu na zdobyciu umiejętności dobrego pisarstwa z otoczeniem. Rozwinięciem w uczniu instynktu społecznego jest naczelnym zadaniem szkoły. Na to nie może nigdy brakować czasu.

Władze szkolne zastanawiają się niewątpliwie głęboko nad skomplikowanymi zagadnieniami współczesnej szkoły. Dwa wnioski można z powyższego od razu wyciągnąć. Po pierwsze: zdobycze naukowe są ogromne, świat się zmienił szalenie, ale struktura uczenia zmienia się tylko nieznacznie. I po drugie: prawo do radości jest starsze niż wszystkie systemy szkolne.

KORAL

bawią się w „mame i tate” (w wiaćomym rozumieniu tego wyrażenia), skąd to znają? Dzieci bawią się w pijaków. Czy wynoszą to z przedszkola? Z całą pewnością nie.

MARIA GUNIA — przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego Przedszkola nr 1.

Niewątpliwie jest wiele racji w artykule Józefa Kanika, szczególnie jeśli chodzi o projekty (nauka języków obcych, przedszkole muzyczne). Może artykuł napisany był na czasie, wzięwszy pod uwagę hasło 1000 szkół na Tysiąclecie. Wydaje mi się jednak, że w chwili obecnej dużo dzieci nie znajduje w ogóle miejsca w przedszkolach — czy można więc wysuwać postulaty przedszkoli muzycznych? Obecnie rolę tę spełniają domy kultury.

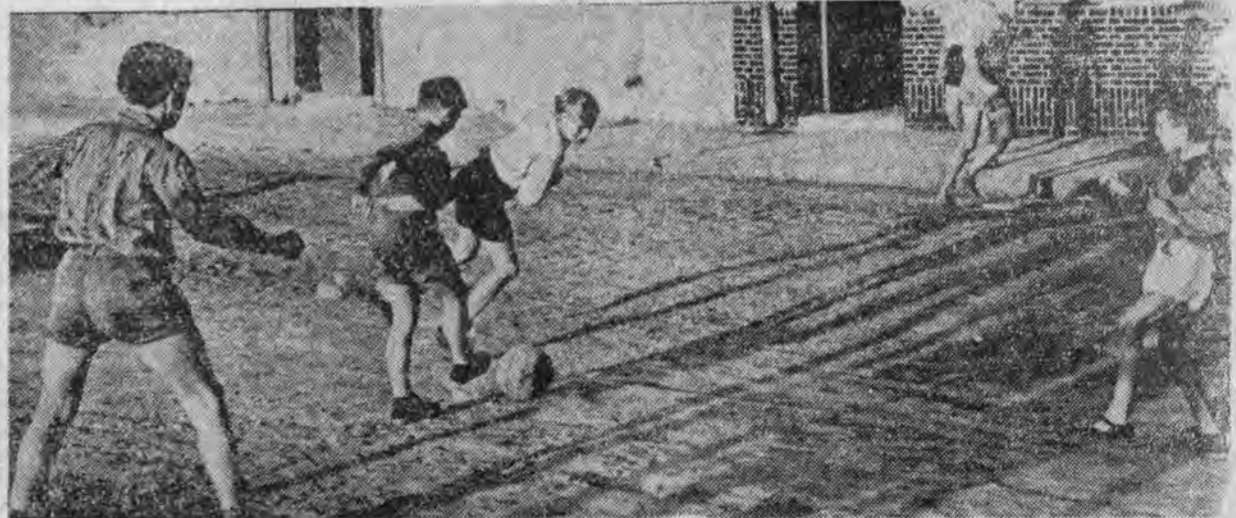
Jako przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego wiem, że o przyjęcie dziecka do przedszkola starają się nawet rodzice dobrze sytuowani, widząc korzystny wpływ przedszkola na wychowanie dziecka. Dom rodzinny mimo najlepszych warunków nie może dać dziecku tego, czym dysponuje przedszkole.

CZWORO RODZICÓW z Przed-

szkola nr 4 pisze w swym liście, że w przedszkolu zauważa się troskę o zdrowie dziecka i jego harmonijny rozwój fizyczny i psychiczny. Przedszkole „realizując zasadę uczyć przez zabawę, przyzwyczajają dzieci do samodzielności, do pracy w grupie, wyrabia umiejętność współżycia, poszanowania osób starszych, przysposabia do zajęć szkolnych”.

MARIA ROKOSZ, której dziecko uczęszcza do tego samego przedszkola konkluduje: „Nie jestem optymistką i nie twierdzę, że wymienione przeze mnie przedszkole może się poszczycić „cudownymi” osiągnięciami. Nie! Spełnia ono jednak dobrze swój codzienny obowiązek. W pracy przedszkola pojawiają się różne problemy, a nawet można dopatrzeć się pewnych niedociągnięć. Ale nie wystarczy, by z trudnościami borykał się tylko personel pedagogiczny przedszkola. Konieczny jest współdziałanie rodziców. Tej właśnie współpracy nie ma w poszczególnych przedszkolach. Rodzice rzadko interesują się życiem dziecka w przedszkolu, tematyką zajęć, trudnościami pracy bieżącej”.

Opracował: Cz. KL.



na wprost NA ZDROWIE

Ostatnio znów czytałem w czasopiśmie „Polska” o wpływie bodźców psychoemocjonalnych na zdrowie człowieka. Zakłócenia stosunków międzyludzkich, wroga obojętność środowiska na losy bliźnich, atmosfera zaszczuwania i wykańczania człowieka sprzyjają powstawaniu zawałów serca i ciężkich schorzeń nerwicyowych. Wybitni naukowcy — lekarze i psycholodzy — propagują dla przeciwdziałania tym ujemnym skutkom współżycia społecznego, życzliwość i uprzejmość dla wszystkich, z którymi się w życiu codziennym spotykamy. Polskie Towarzystwo Higieny Psychiczej organizowało Miesiąc Grzeczności, Rok Życzliwości, a nawet sformułowało projekt ustawy o ochronie zdrowia psychicznego.

Tyle informacji z lektury. I tu już zaczynają się wątpliwości felietonisty. Bo proszę sobie wyobrazić, że każdy z nas musi być zawsze życzliwy i uprzejmy dla wszystkich i to bez zawieszania, od zaraz — i bez odwołania. Ile nagromadzi się w nas tłumionej pasji, irytacji, wściekłości, z którymi nie wiadomo co począć — jak je wyładować. Czy mamy po nocy wykrzykiwać nasze żale do świata przy księżycu? A może należałoby przydzielić każdemu skórzany worek, jak do treningów bokserkich? — Zrzucimy wtedy — ładując haki i sierpowe w wór — część naszej irytacji z serca i wątroby. Albo jeszcze inaczej — przy absolutnej życzliwości dla wszystkich — jeden talonik w ciągu roku na osobnika, którego dla zdrowia psychicznego można by zmieszać z błotem?

Nie sposób przecież zbyt radykalnie zmieniać nasze obyczaje — tak, jak trudno od razu rzucić palenie, czy odciąć się od innych jakichś nałogów. Cóż począłoby bez takiego taloniku wielu dyrektorów, dotąd co tydzień sekujących kogoś innego spośród swych podwładnych. Wprawdzie niektórzy czynią to z promiennym uśmiechem i zapewniając ofiarę o swej życzliwości starają się ją łagodnie usunąć ze swego zakładu.

Tacy już są dobrodusznicy. Albo wyobraźmy sobie co czeka żonę i dzieci zwykłego szarego obywatela zmuszonego do codziennego pokonywania oceanu bezsensownych utrudnień, niezyciowych przepisów, ziej woli czy bezmyślności w handlu, administracji, komunikacji itd. Zakładamy, że musi się biedak bez przerwy miło uśmiechać, przy czym fakt, że wszyscy załatwiają go także z uśmiechem jeszcze sytuację pogarsza, bo to wygląda na złośliwą drwinę. Dla odciążenia rodziny takiego człowieka, należy mu umożliwić raz w roku gruntowne „objechanie” jakiegoś limitowanego osobnika.

Jeszcze inni zasługują na takiego manekina do wyładowań, gdyż źle się im układa życie w ognisku domowym. Ktoś tam zawiódł się w swoich planach życiowych — innego załatwiła klika kumotów — słowem, każdy ma swoje powody, by sobie czasem na kimś użyć.

Najłatwiej jeszcze sobie radzą krewcy, a dowcipni ludzie pióra. Wyładowują się na łamach gazet w atakowaniu przypadkowych nieraz osób. I tak, np. ostatnio w sposób zabawny i prześmiewny jeden z publicystów niszczy krakowskiego społecznika, dr Marcinkowskiego. Jak wynika z artykułu, korzysta najpierw z gościnny i herbaty swojej ofiary, a później drwi z jego przekonań, gustów i całej działalności. A trzeba dodać, że ta działalność, to zwalczanie alkoholizmu i jego skutków. Przyznaje, że publicysta nie atakuje dr Marcinkowskiego w sposób programowy i zasadniczy. Unicestwia go mimochodem, dla zabawy. To znakomity relaks psychiczny.

A więc ogłaszam program minimum. Jeśli już czasem musimy być dla kogoś niezyczliwi — nie bądźmy za często. Nie więcej niż jedna ofiara na rok. Tego wymagają zasady higieny psychicznej. Abyśmy zdrowi byli — ale wszyscy. Z biegiem czasu — dojdziemy także do życzliwości absolutnej — wszystkich wobec wszystkich — i bez ulg. Ale jednak drogą stopniowania.

JOTGIEL



Mgr inż. ZBIGNIEW TOMASZEWSKI

Rys. J. SIENKIEWICZ

Nowoczesne kina na Rzeszowszczyźnie

Na 49 kin miejskich w woj. rzeszowskim 22 — to kina panoramiczne. W najbliższym czasie przybędą dalsze trzy: w Ustrzykach Dolnych, Tarnobrzegu oraz w Rzeszowie. Ponadto przebudowane zostaną w br. na panoramiczne 3 kina w Sanoku i Lesku oraz w Białej k/Rzeszowa.

Warto zwrócić uwagę, że na terenie kraju kina panoramiczne znajdują się głównie w największych ośrodkach miejskich, na Rzeszowszczyźnie zaś chlubią się nimi nawet tak małe miasteczka, jak Dukla, Sokółów Młp., Szyszów Młp., Rudnik n/Sanem, Ropczyce czy Kolbuszowa. W związku z tym wzrosła oczywiście cena biletów. Jednakże lepsze warunki wnętrza, bogatszy repertuar itd. — poważnie zwiększyły też frekwencje.

Unowocześnianie kin nie kończy się na tym. Tak np. „Zorza” w Rzeszowie otrzymała kompletne wyposażenie (jedno z 10 w kraju) do stereofonicznego odtwarzania dźwięku, a w trzech innych (w Rzeszowie, w Stalowej Woli i w Jarosławiu) dotychczasowe elektrofony zostały zastąpione najnowszym „krzykiem” techniki — kołbami ksenonowymi, co nie tylko znacznie polepsza jakość obrazu (świetło zbliżone do dziennego), szczególnie przy filmach kolorowych, ale także jest bardziej ekonomiczne.

W innych kinach — w tym również wiejskich — prowadzone są prace nad poprawą jakości odtwarzania obrazu, m. in. przez zastępowanie tradycyjnych ekranów płóciennych — tkaninami stylonowymi lub malowanymi starczaniem baru. (KI-PAP).

WIDNOKRAG odpowiada

„STEMAR” PRZEMYSŁ: Niestety, przewidywania okazały się trafne. Nie skorzystamy i sądzimy, że w Wiercach rzeczywiście nie ma przejawów geniuszu. Przede wszystkim nie ma oryginalności.

OB. R. K. — PRZEMYSŁ: Fraszkę są złe. Brak im dowcipu i wdzięku — są po prostu nudne, co jest przy tym gatunku literackim niedopuszczalne. Np. (cytuje) „Nie lubię słuchać o takiej osobie, która opowiada tylko o sobie”. Albo — „Hej przeleciał „ptasek” — Nie ma forsy Staszek”. Czy to rzeczywiście fraszkę?

Zdarzenia TYCODNIA

W całym kraju trwają eliminacje do X Ogólnopolskiego Jubileuszowego Konkursu Recytatorskiego. W ubiegłą niedzielę eliminacje powiatowe konkursu przeprowadzono m. in. w Dębicy. Uczestniczyło w nich 34 recytatorów. Niestety, poziom eliminacji nie był najlepszy. Jury konkursu do eliminacji wojewódzkich dopuściło tylko jednego przedstawiciela powiatu dębickiego. Zaszczycił ten spotkał recytatorkę Barbarę Lech.

Zaznaczyć należy, że eliminacje powiatowe do X Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego przeprowadzono już w Gorlicach, Sędziszowie (dla powiatu ropczyckiego) oraz w Jarosławiu.

Na ekrany kin województwa rzeszowskiego wszedł nowy film produkcji polskiej „Na białym śniegu”. Uroczysta premiera odbyła się 17 bm. w kinie „Zorza” w Rzeszowie. W imprezie uczestniczyli autorzy scenariusza — Alina i Czesław Centkiewiczowie. Goście, znani podróżnicy i autorzy ciekawych się ogromną popularnością książek przygodowych — odbyli następnie kilka spotkań autorskich. Spotkali się z czytelnikami w Przeworsku, Dębicy, Mielcu, Brzozowie, Sanoku i Rzeszowie. Spotkania te cieszyły się dużym zainteresowaniem. Alina i Czesław Centkiewiczowie odpowiedzieli na liczne pytania dotyczące ich dalekich podróży i warsztatu pisarskiego.

W Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie trwają próby montażu scenicznego opracowywanego przez wojewódzką akademię pierwszomajową. Na program złożą się występy chóru, orkiestry i baletu. W scenariuszu uwzględniono utwory, które podkreślają międzynarodowy charakter święta klasy robotniczej. Całość opracuje Bohana Nizankowa i Witold Zebrowski. W widowisku weźmie udział około 200 osób.

Na zaproszenie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej województwa rzeszowskiego odwiedził w ramach publicysty, przewodniczący Klubu publicystów kulturalnych SLD — redaktor Leszek Goliński. W czasie kilku prelekcji, jakie wygłosił w Rzeszowie, Przenydlu, Włodzowie (pow. Brzozów) i Sanoku, red. Goliński mówił o sprawach związanych z aktualną polityką kulturalną państwa.

„O tradycjach teatralnych Rzeszowa” — to tytuł prelekcji mgr Jerzego Piękniewicza, wygłoszonej w ramach cyklu odczytów zorganizowanych przez Polskie Towarzystwo Historyczne w Rzeszowie.

Po województwie rzeszowskim artystyczne tournée odbywa obecnie zespół Esmiry Łódzkiej. Na program dwugodzinnego widowiska satyryczno-wokalistycznego „Tele-For-Tele” składają się utwory muzyczne, piosenki, skecze, senta i monolog.

Na zaproszenie dyrekcji WDK do naszego miasta przyjechała Barbara Kozłowska, która poprowadzi próby z zespołem Studia Operowego. Studiu to przygotowuje wiodawil Konstantego Krumińskiego w opracowaniu scenicznym Leona Schillera pt. „Królów: przedmieścia”.

W PRZECIWIENSTWIE do słonecznego ranka 3 września następny dzień 1944 r. wstawał pochmurny i mglisty. Przed świtem trudno było cokolwiek zobaczyć nawet na krótką odległość, toteż dopiero po godzinie szóstej 2. batalion — czło 1. brygady — ruszył naprzód z rejonu Machnówki. Później mgła powoli ustąpiła, a w miarę jak widoczność stawała się lepsza, oficerowie i żołnierze brygady konstatawali, że sytuacja w jakiej się znaleźli jest nie do pozazdroszczenia. Oddziały znajdowały się w szczyrim polu, nad którym panowały obsadzone przez Niemców wzgórza. Złwłaszcza stanowiska artylerii były widoczne jak na dłoni.

Tymczasem drugi batalion był już w kontakcie ogniowym z wrogiem. Niemcy ostrzelali gwałtownie z lasu na południe od Bóbrki konny zwiad batalionu, a w chwili potem na całym odcinku rozległy się wybuchy armatnich pocisków i jazgot karabinów maszynowych. W oddali zawarczały silniki czołgów.

Hitlerowcy są dobrze wstrzelani; ich pociski sieją śmierć i spustoszenie. Glinie dwóch dowódców plutonów, trzech innych jest rannych, wielu żołnierzy ucierpiało także od kul i odłamków. Duże straty ma przydzielony do 2. batalionu oddział moździerzy 120 mm i baterie dział ppanc. To wszystko w połączeniu z wieścią o zbliżaniu się czołgów wprowadziło w szeregach chaos i zamieszanie. Wielu żołnierzy zaczęło odchodzić do tyłu.

W tej sytuacji podporucznik Fisch, który miał za zadanie wspierać 3. batalion znalazł się wraz ze swoimi czterema działami sam na sam z nieprzyjacielem. Nieprzyjaciel był wprawdzie niewidoczny, lecz pociski jego dział i moździerzy wybuchy dookoła. Niedaleko baterii stało kilka haubic 120 mm, ale ich obsługa wycofała się porzucając sprzęt.

Zaczy się więc nasz podporucznik z dowódcą 3. batalionu i pyta: — Co robisz? — A rób co chcesz, bracie — pada odpowiedź. — Co ja ci mogę poradzić? Nakazał więc Fisch okopywać dział. Jego zastępca wszedł na drzewo, by zobaczyć skąd Niemcy strzelają i zginął. Po nim padli jeszcze dwaj żołnierze.

Nagle podjechała do baterii radziecki major i krzyknął: — Dlaczego dział nie strzelają? Cóż wy tu wyprawiacie, tacy i swacy!

Bitwa o Przełęcz Dukielską (III)

Wrocanka i Machnówka

— Okopujemy się — odpowiada podporucznik rad, że katedr wreszcie przypomniał sobie o baterii. — Podobno czołgi idą na nas. — Czołgi?!! Jakże tu czołgi?!! Otworzyć ogień na wroga! I jak nie zacząć kląć i rugać od wszystkich babuń i dziadków. Podporucznik ucieczony, że major może zorientować go jakoś w sytuacji, sięga po mapę.

— Towarzyszu majorze, pokażcie tu gdzie są Niemcy, podajcie nam cele dla dział. — Do diabła z mapą — krzyczy major. — Wal na te wzgórza całą amunicją jaką masz! A z tych haubic, od których te sukinyzny pozwiewali też strzelaj.

Rzucili więc kanonierzy łopatką i przypadli do dział. Strzelali z nich do ostatniego pocisku, a później przeszli do haubic. Bili na oślep, ale później okazało się, że trafiali i udaremniłi niemiecki kontratak. Ppor. Fisch dostał za to potem czechosłowacki Krzyż Walecznych 1939, a wzięty do niewoli Niemiec z 75. dywizji piechoty zeznał: — przeciwnik niespodziewanie nakrył nas silnym ogniem, akurat na tym odcinku, skąd zmieiliśmy kontratakować. Nasi żołnierze z 5., 6. i 7. kompanii potracili głowy... Dopiero około godz. 10 udało się zebrać batalion. Nasza 6. kompania straciła 25 proc. swego stanu osobowego. Pozostałe — podobnie”.

Bateria Teodora Fische nie była

jedyną. Czołgi, które rzeczywiście podeszły na sąsiednim odcinku odporcie zostały ogniem dział, którymi dowodził O. Rytirz, inne pododdziały artylerii i fizylierów odpierały kontrataki Niemców na całej linii 1. brygady.

3. brygada znajdowała się w tym czasie w rejonie Wrocanki. Jej czołowy 5. batalion wysunięty

atak na 5. batalion. Kpt. Morawec znajduje się wśród żołnierzy. Przechodzi od plutonu do plutonu, uspokaja i nakazuje: „nie cofać się, nie cofać się ani kroku”. Wybuch miny. Kapitan leży na ziemi, z jego głowy płynie krew. Odtransportowany zostaje na tyły, a później do szpitala we Lwowie. Batalion został bez dowództwa, bo kilka minut przedtem zginął zastępca Moraweca, kpt. Paszek.

Komendę obejmuje dowódca kompanii ckm, żołnierz spod Sokółowa, Kijowa i Wasylkowa, podporucznik Ladislaw Kilian. Kontratak niemiecki jest w pełnym toku, ale Kilian nie bacząc na pociski idzie tam, gdzie najciężej, skacze od stanowiska do stanowiska i podtrzymuje na duchu żołnierzy, którymi w obrzyniej większości byli nie ostrzelani jeszcze dotąd ochotnicy z Wolynia.

I znów Niemcy zostają odparci, ale po południu pchają się ponownie. Kilian jest już ranny, lecz nie opuszcza szeregów. Jego batalion walczy już ramię w ramię z lewostrzydłowym batalionem 1. brygady, która także całe przedpołudnie odparła bezustanne kontrataki hitlerowców.

Około godz. 16 idzie natarcie czechosłowackie na Bóbrkę. Wspiera je cała brygada artylerii i kilka czołgów. Walka jest zażarta. Wieś zostaje zdobyta i tyraliera piechoty dochodzi do północnych skrajów lasu na południe od niej. Dalej jednak niż 2 km posunąć się naprzód nie było można. Straty były duże po jednej i po drugiej stronie. Do późnego wieczora przeplatały się ataki czechosłowackie i kontrataki niemieckie. Nacierali już nie bataliony, ale poszczególne kompanie, plutony i grupy żołnierzy. Po południu przybył do 1. frontu czechosłowackiego dowódca 1. Frontu Ukraińskiego marsz. Koniene, przedwieczorne zaś natarcie 1. brygady na Grodzisko obserwo-

wał d-ca 38. armii gen. pik. Moskalkenko.

Zaciekle boje trwały tego dnia także na sąsiednim odcinkach, kawaleryjski gen. Baranowa od rana ponawiał natarcia na las z południowej strony Chorkówki i po ciężkich zmaganiach udało im się przy wsparciu 153. dywizji piechoty przebić wzdłuż drogi do Kobylan, ale tu zatrzymał ich silny opór przeciwnika. 101. korpus siedł naprzód krok po kroku, odbijając z pomocą czołgów 111. brygady i dział opancerzonych 151. pułku z 2. korpusu pancernego ciągłe kontrataki niemieckie. Na lewym skrzydle trwały walki o Krosno, gdzie do godz. 14 udało się opanować zaledwie północno-zachodnie przedmieście. Prawoskrzydłowy korpus 1. Armii Gwardii gen. A. A. Grecki z 4. Frontu Ukraińskiego nacierający n. Komańczę z rejonu Sanoka — posunął się naprzód tylko od 4-5 km.

Dlaczego tak się stało? Co było powodem ostabienia tempa operacji?

Otóż Niemcy 3 września byli już w tym rejonie znacznie silniejsi niż poprzedniego dnia. Doceniali znaczenie Przełęczy Dukielskiej oraz szosy Dukla-Gorlice, będącej po tej stronie jego jedyną linią komunikacyjną, łączącą ich południową część frontu wschodniego z północną i będącą najkrótszą drogą zaopatrzenia, zaczęli 8. IX. pośpiesznie ściągac tu wojska z innych odcinków. Rano 3 września pod Machnówką znalazła się 75. dywizja piechoty przetrzona tu transporterami opancerzonymi z Ustrzyk Dolnych. Jednocześnie dostali tutaj: 1. dywizja pancerna walcząca dotąd na przyczółku sandomierskim, 1. dywizja pancerna spod Krakowa, pułk z 544. dyw. piech. walcząca dotąd na łączniku ok. 4000 żołnierzy — walcząc poprzednio z powstańcami słowackimi. W tej sytuacji dotychczasowe przeważwojsk radzieckich i czechosłowackich poważnie zmalała, a np. w czołgach i działach pancernych Niemcy dwukrotnie przewyższali 38. armię. W dodatku 2. dywizje słowackie, które od tyłu miały uderzyć na hitlerowców zostały rozbrojone i nie wzięły udziału w walce, jak to poprzednio planowano.

Wiczemem w sztabie gen. Swobody dowodzącego wówczas 1. brygadą czechosłowacką zjawili się generał Moskalkenko ze swym zastępcą. Oficerowie podeszli do mapy i wspólnie oceniali sytuację. Rodził się plan następných działań.

WITOLD SZYM CZYK